

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Biała broda Jana Wolskiego

Jan Józef Lipski

Jan Józef Lipski
Biała broda Jana Wolskiego
1992

<http://lewicowo.pl/biala-broda-jana-wolskiego/>

Powyższy tekst przedrukowujemy za książką Jana Józefa Lipskiego „Tunika Nessosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie”, Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992

pl.anarchistlibraries.net

1992

Jana Wolskiego nie można było przeoczyć, jeśli znajdował się na sali. Jego wspaniała, długa broda patriarchy – a może świętego Mikołaja – zwracała na siebie uwagę, nawet jeśli nie zabierał głosu i siedział gdzieś w kącie. Miał piękny, szlachetny profil, miły głos z wyraźną wileńską wymową i od pierwszego wejrzenia sprawiał wrażenie jakiejś wielkiej szlachetności. Takim go utrwalił na rysowanym węglem portrecie nasz wspólny znajomy z Klubu Krzywego Koła, mecenas Tadeusz Wlazło, malarz-amator.

Historia tej wspaniałej brody była trochę podniosła, a trochę zabawna. W 1939 roku, po klęsce, Wolski zapuścił brodę, ślubując sobie, bez przywiązywania do tego zbytnej wagi, że zgoli brodę w wolnym kraju. Gdyby mu ktoś wtedy powiedział, że nie dożyje owego momentu – pomyślałby zapewne, że względnie wcześniej umrze, mając niewiele ponad 50 lat (urodził się 24 sierpnia 1888 roku w Skurnlutowie, na Litwie). Zmarł natomiast w roku 1975 jako 87-letni starzec. Gdy leżąc w szpitalu, na kilka jeszcze lat przed śmiercią, usłyszał podczas obchodu, że dobrze byłoby, gdyby ze względów medycznych zgolił brodę – zaprotestował, podając powód jej zapuszczenia. Zdobył tym sobie serca obecnych na obchodzie studentów, którzy odtąd odwiedzali go, znosząc pomarańcze (wówczas rzadki rarytas) i ciastka.

Od razu go też zauważyłem, gdy wczesną jesienią 1956 roku pojawił się w Klubie Krzywego Koła. Zabierał tego dnia głos w dyskusji, a było to jedno z tych zebrań przedpaździernikowego okresu, które Klubowi zdobyły renomę najważniejszego bodaj publicznego forum swobodnej dyskusji tamtego czasu. Zwróciłem na ten głos uwagę, moja socjaldemokratyczna orientacja krzyżowała się zawsze z sympatiami do abramowszczyzny, a wypowiedź utrzymana była w tym właśnie duchu. Podczas przerwy spytałem profesora Ossowskiego, kto to jest. Ossowski znał go dobrze – i mówił o nim z widocznym, niezdawkowym respektem. Odtąd wiedziałem, że mam do czynienia z jedną z czołowych postaci polskiego kooperatywnego, twórcą – zarówno na płaszczyźnie teoretycznej, jak i organizacyjnej – spółdzielczości pracy w Polsce w okresie niepodległości, ostatnim z żyjących przyjaciół Edwarda Abramowskiego. Poznaliśmy się jeszcze tego samego wieczoru.

Wolski próbował w tym październikowym czasie, korzystając ze sprzyjającej koniunktury politycznej, odrodzić idee spółdzielczości, w szczególności spółdzielczości pracy. Po przeszło 10 latach rządów komunistycznych nie było to już łatwe, a wobec utrzymania się PZPR przy sterze – okazało się wręcz niemożliwe. Po uchwyceniu władzy przez Gomułkę rozpoczął się proces modyfikowania systemu, który stał się niewątpliwie liberalniejszy niż za Bieruta, niemniej jednak był to nadal system komunistyczny, a więc totalitarny.

Jeszcze w roku śmierci Janka Wolskiego zaczął się nowy okres walki. Już bez niego – i zarazem wciąż z nim.

Wolskiemu marzyło się odnowienie polskiego wolnomularstwa. Działalność w Klubie Krzywego Koła była dla niego podtrzymaniem dawnych marzeń i nadziei. Potem, w okresie odpływu społecznego oporu, gdy znów zaczęły się procesy polityczne: Hanki Rewskiej, Hani Rudzińskiej i innych – Wolski ozdabiał, dosłownie, korytarze i sale sądowe swą wspaniałą brodą. Po miesiącach październikowego ożywienia, gdy w Klubie Krzywego Koła zabierał głos prawie co czwartek (nie licząc dwóch referatów będących wykładami jego koncepcji społecznych), gdy spotkało go wyróżnienie Nagrodą Klubu Krzywego Koła (otrzymał ją wraz z Pawłem Jasienicą), gdy znalazł sobie odpowiadające jego potrzebom środowisko – nadeszły lata stopniowego, nieubłaganego spadku sił. Starzeli się wraz z żoną, aż doszli do wniosku, że już nie mogą sobie sami dawać rady – i przenieśli się do Domu Zasłużonego Spółdzielcy w Wycześniaku pod Skierniewicami. Tam Jan Wolski dożywał swych dni. Coraz bardziej dawała o sobie znać skleroza, która nie spowodowała jednak żadnych ujemnych zmian charakterologicznych, natomiast spowolniła, co prawda bardzo dotkliwie, tempo procesów intelektualnych. Do końca dane mu było pozostać takim samym dobrym, uroczym i rozumnym człowiekiem, jakim był przez całe swoje życie. Staraliśmy się – Wojtek Ziemiński, który był mu bardzo oddany i pomocny w ostatnim okresie życia, Kryśka Podgórecka, wożąca nas samochodem, ja – zawsze z obstawą ubecką z tyłu – odwiedzać go. Zmarł 12 lipca [1975] w szpitalu skierniewickim, dokąd przeniesiono go na parę dni przed śmiercią. Nie doczekał KOR-u (w którym znalazłby się z pewnością, podobnie jak Ossowscy, Słonimski, Jasienica).

Pogrzeb zgromadził trochę przyjaciół. Janek Wolski (w pewnym momencie, już po Klubie Krzywego Koła, przeszliśmy na „ty”) był człowiekiem indyferentnym religijnie; nie życzył sobie religijnego pogrzebu. Jego wierzący przyjaciele zamówili jednak w dniu pogrzebu mszę za niego. Ładnie i mądrze mówił tego dnia w swym kazaniu ks. Stanisław Małkowski: o pięknie moralnym zmarłego – i o jego obojętności religijnej. Zadał pytanie, w jakim stopniu mogło to być rezultatem odpychania przez taki Kościół, jaki był w latach kształtowania się postawy Jana Wolskiego; wyraził przekonanie, że zmarły bliższy był Chrystusowi i Ewangelii niż wielu innych, gdyż żył dla wyższych idei moralnych i czynił dobrze. Nad grobem przemówił pięknie Janek Olszewski, nasz wspólny przyjaciel. Więcej było tam, na cmentarzu, „cichych” [tajniaków] niż nas, jego przyjaciół. Ten dzień pogrzebowy między innymi dlatego mocno zapadł mi w pamięć. Byliśmy słabi, obłężeni. Odchodził znowu ktoś, kto nie doczekał, i każdy z nas myślał, że z nim będzie tak samo.

Spółdzielczość – jeśli to słowo pisać bez cudzysłowu – skazana była na dalsze uleganie procesom degeneracyjnym.

Jan Wolski był abramowszczykiem, a więc anarchokooperatystą. Nie postulował co prawda absolutnej likwidacji państwa, ale chciał je ograniczyć przez taką rozbudowę spółdzielczości i w ogóle wszelkiej samorządności, by zredukować jego projektowaną rolę do minimum. Trudno było mu zarzucić nie liczący się z realiami życia utopizm, gdyż nie dochodził w swych pomysłach programowych do ostatecznych, skrajnych konsekwencji – niemniej jednak późniejsza Rzeczpospolita Samorządna „Solidarności” musiała się wydawać jego przyjaciołom konstrukcją zbyt kompromisową i lękliwą.

W jednej z pierwszych rozmów ze zdumieniem stwierdziłem, że Wolski ma bardzo krytyczny stosunek do demokracji parlamentarnej. Uważał parlamentaryzm za system preferujący niekompetencję – i chciał budować ustrój, bardziej społeczeństwa niż państwa, na zasadzie wielostopniowego federalizmu, którego podstawowymi ogniwami są: człowiek (jednostki osoba) i komórki zadaniowe (głównie produkcyjne), zrzeszające, na zasadach dobrowolności i samodoboru, od małych grup po autonomicznie działające ich wielostopniowe federacje – przedsiębiorstwa. Dziś, po zdobytych doświadczeniach społecznych, po pewnej praktyce parlamentarnej – lepiej bym umiał polemizować z Wolskim, a przede wszystkim stawiać pytania, niemniej jednak trzeba przyznać, że jego wizja była spójna i konsekwentna, przewidująca samorządne mechanizmy zrzeszające producentów i konsumentów. Wolski był zdania, że jest to jedyna droga do rzeczywistego upodmiotowienia pracy, zniesienia sprzeczności interesów między nią a zarządzaniem, zlikwidowania przekleństwa pracy najemnej.

Pytaliśmy – mam na myśli grupę w przybliżeniu rówieśniczą, która przejęła w swoje ręce kierowanie Klubem Krzywego Koła na parę lat jego rozkwitu (Czesław Czapów, Jerzy Płudowski, Mieczysław Sroka, Aleksander Małachowski, Jan Olszewski, Witold Jedlicki, Zygmunt Skórzyński, Andrzej Raźniewski, Wojciech Ziemiński, Anna Rudzińska – było to wówczas dość zintegrowane towarzysko środowisko, dołączył później do niego starszy od nas Paweł Jasienica) – w jakim stosunku pozostają te koncepcje do praktyki. Otóż ze zdziwieniem usłyszeliśmy o dwóch udanych próbach, obie miały miejsce we Włoszech. Pierwszą było powstanie w Rzymie małej budowlanej spółdzielni pracy, zorganizowanej na zasadzie wielostopniowego federalizmu, która w latach po I wojnie światowej wyparła z rynku konkurencję w całej środkowej Italii. Druga – to żywiołowo rozwijająca się spółdzielnia pracy dokerów w Ge-

nui, która po paru latach wykupiła wielkie magazyny portowe, użytkowanie nabrzeży portowych itd. – a nawet zaczęła tworzyć własną flotę handlową. Obie te inicjatywy zdusił faszyści, posyłając liderów do obozu koncentracyjnego i rozbijając strukturę spółdzielni, by oddać je w ręce prywatnego kapitału.

Bardzo namawiałem Wolskiego, by napisał o tym monografię, choćby popularną. Zaczął nawet gromadzić materiały (znał włoski), ale szło mu to z trudem, gdyż coraz bardziej zapadał na zdrowiu.

Wywierał na nas duży wpływ, w wypadku niektórych trwalszy, u innych przejściowy – co wiązało się nie tylko z treściami intelektualnymi i ideowymi, które nam chciał przekazać, ale w ogóle z jego osobowością. Cechowała go jakaś wielka żarliwość, coś w rodzaju poczucia posłannictwa. Tego rodzaju ludzie zdradzają często tendencję do nietolerancji, autorytarności. Wolski – przeciwnie. Był tolerancyjny po prostu spontanicznie, była to jedna z fundamentalnych cech jego osobowości, przy czym ta jego tolerancja nie miała nic wspólnego z obojętnością, dzięki której można wiele znosić – wyłączając się. Ciekawe, że będąc tolerancyjny – zarazem bywał agresywny, co, zdawałoby się, jest nie do pogodzenia. Umiał szanować odmienne poglądy, ale uważał, że im bardziej są one autentyczne, tym bardziej zasługują na uczciwą krytykę, jeśli zaś stanowią jedynie kłamliwy pozór – trzeba to demaskować. Miał zresztą dużą intuicję i bezbłędnie odróżniał autentyzm od zakłamania i oportunistu. Wtedy reagował nie chęcią odbycia sporu, dyskusji, ale dającą się wyczuć pogardą. Było to jednak zawsze łagodzone jego dobrocią.

Najdłużej, bo jeszcze w pierwszych latach powojennych w Krakowie, był pod jego wpływem Aleksander Matejko. Wolski wykładał wówczas w Studium Spółdzielczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Matejko – dziś profesor socjologii w Kanadzie – współpracował z nim od lat. W roku 1971 opublikował w paryskiej „Kulturze” najobszerniejszą, główną pracę o Wolskim i jego poglądach, zatytułowaną „Wolszczyzna”. Jan, mocno już zniedołężniały, mógł jeszcze się nią cieszyć. Nie miało to nic wspólnego z faktem, że pisze się o nim – ale bolało go bardzo, że idee anarchokooperatystyczne giną w zapomnieniu.

Można by powiedzieć, że przeciw Abramowski zawsze miał swych adherentów: od Żeromskiego i Orkana, przez Towarzystwo Kooperatystów w okresie międzywojennym, publicystkę Marii Dąbrowskiej, wojenną publicystkę Stanisława Ossowskiego – aż do czasu rządów komunistycznych, gdy okresom buntów społecznych zawsze towarzyszyło odżywianie abramowszczyzny: w publicystyce „Po prostu”, w Klubie Krzywego Koła,

w idei samoorganizowania się społeczeństwa, głoszonej przez KOR, w idei Rzeczypospolitej Samorządnej z programu gdańskiego NSZZ „Solidarność”. To wszystko prawda, niemniej w świadomości społecznej ta tendencja, przez cały XX wiek towarzysząca narodowi polskiemu, stawała się coraz bardziej abstrakcyjna. Tak być musiało, gdyż naturalną kuźnią praktyki społecznej była dla abramowszczyków spółdzielczość. Wraz z jej przetworzeniem przez komunistów w swoisty typ centralnego zarządzania państwowego – zniknęła symbioza idei i praktyki w tym nurcie społecznej myśli polskiej.

Dla ludzi takich jak Wolski było to bolesne. Formacja „niepokornych” z przełomu XIX i XX wieku tym między innymi się odznaczała, że byli to przeważnie jednocześnie ludzie idei, teorii – i czynu. Tworzyli instytucje życia społecznego, gospodarczego, kulturalno-oświatowego, które zaważyły w istotny sposób na polskim życiu narodowym. Umieli działać. Z podziwem patrzyłem na tych brodaczy o pokolenie starszych ode mnie: na Jana Wolskiego, Stefana Zbrożnę, Tadeusza Szturm de Sztrema. Do końca życia każdy z nich zachował wycucie tych skomplikowanych związków, które zachodzą między światem wartości a życiem codziennym, nie zdradzając, nie porzucając jednej z tych dziedzin dla drugiej. Był to pragmatyzm kierujący się precyzyjnie wartościami naczelnymi.

Rozmowy, częste i długie, z Janem Wolskim – były dla mnie i moich rówieśników wielką szkołą. Działaczem społecznym został jeszcze przed I wojną światową. Jeszcze z tego okresu znali się z Edwardem Lipińskim. Przyjaźnił się z ludźmi o największych nazwiskach w historii polskiej spółdzielczości: obok Wojciechowskiego, Rapackiego, Mielczarskiego – z generałem Kustro-niem, abramowszczykiem poległym w kampanii wrześniowej, z ojcem Leszka, Jerzym Kołakowskim, teoretykiem spółdzielczości pracy. Spędził lata w PPS – a więc wszystkich tych ludzi znał – i umiał o nich mówić. Daszyński i Lieberman, Niedziałkowski, Żuławski, Andrzej Strug.

No właśnie, Strug... Pewnego razu Wolski powiedział mi, że masonowi zawsze wolno, gdy uzna to za wskazane, przyznać się do wolnomularstwa. Może też mówić o zmarłych – i Wolski o nich mówił. Wysłuchałem w ten sposób ciekawego kursu historii polskich łóż, bo przecież byli to już przeważnie zmarli. Czasami zaskakiwał mnie. Interesowałem się na przykład od czasów studenckich niezwykle oryginalną twórczością Tadeusza Micińskiego. Gdy dowiedziałem się od Wolskiego, że Miciński był masonem – nagle zacząłem lepiej rozumieć jego poezję, powieści, dramaty. Symbolika secesyjnej sztuki Edwarda Okunia, ciekawego malarza i grafika, zupełnie inaczej się przedstawia, gdy w zrozumieniu jej pomaga biograficzny klucz.